EPOKA

TYGODNIK

ROK I Warszawa, 25 grudnia 1932 R. NR. 15

Maszerują głodni...

Rozbrojeniowa kwadratura koła

Prawdziwe oblicze Śląska

Od chederu do kryminału

Domy bezwstydu publicznego

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Listy do „Epoki".

AUTORZY: MUSZAŁÓWNA. CZECZELNICKI. MORCINEK.
WIDZ. ROGOWICZ. ŻARSKI. STEMPOWSKI.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

WSPOLNY FRONT

Jedno z najpoważniejszych czasopism literackich francuskich: „Nouvelle Revue Française" zamieszcza w ostatnim (grudniowym) numerze „Cahier de Revendications", opinje młodych pisarzy rozmaitych obozów i ugrupowań. W zeszycie tym znajdujemy jedenaście deklaracyj, których wspólną cechą jest bunt przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, nietylko w zakresie stosunków politycznych i społecznych, ale i wobec całokształtu życia dzisiejszego.

Życie to, zagrożone w swoich podstawach materjalnych i moralnych, stworzyło wspólny front rewolucyjny pośród młodych sił pisarskich Francji, poczynając od prawicowej, monarchistycznej grupy „Action Française", przechodząc przez ugrupowania takie, jak: „l'Ordre Nouveau", „Combat", „Esprit", „Plans", „Reaction", kończąc wreszcie na komunistach.

Front ten, wybitnie antykapitalistyczny, nie jest jednak ortodoksyjnie marksowski (z wyjątkiem odłamu komunistycznego).

Młodych pisarzy tych łączy świadomość konieczności walki z istniejącemi warunkami, zrozumienie bezsilności, cechującej teorję, choćby najsłuszniejszą ale nieprzeniesioną w sferę czynu. Zależnie od temperamentu osobistego i od programu ugrupowania, do którego należy dany pisarz, wysuwa się na pierwszy plan tę czy inną sprawę natury materjalnej, lub moralnej i wykazuje, że nie da się ona rozwiązać przy zachowaniu dotychczasowego ustroju.

Rewolucjonizm młodych pisarzy francuskich nie ma w sobie nic ze snobizmu mieszczańskiego, nic z podświadomego odruchu, jest głęboko odczuty i przemyślany, wynika z istotnych potrzeb, wchodzi w sferę czynu, ujawnia dążności nietylko wywrotowe, ale i konstrukcyjne. Jest żywy, jędrny, budzi wiarę w swoją wartość realną.

PIĘĆ CZYNÓW »NASZEJ PRZYSZŁOŚCI«

Mało znany miesięcznik konserwatywny „Nasza Przyszłość" w najświeższym numerze zawiadamia swych czytelników w sposób uroczysty, że występuje „z czynną akcją na szerszą skalę", gdyż „Polska potrzebuje więcej czynu, niż słowa".

Czyny te ujęte zostały w pięć punktów: 1) opracowanie i propaganda w szczegółach zachowawczego projektu naprawy Konstytucji; projekt ten istotnie zawiera moc szczegółów i szczególików, jednego tylko nie rozstrzyga: czy Polska ma być republiką, czy monarchją, i czy z tronem dziedzicznym czy elekcyjnym;

2) zgłębienie najistotniejszych przyczyn przedłużania się u nas kryzysu gospodarczego i „ustalenie pewnej ogólnej platformy, którą dopiero pewien racjonalny start w kierunku naprawy umożliwi; — krótki program, ale konkretny!

3) przymierze polityczno - militarno - gospodarcze dziewięciu państw, związanych dotychczas porozumieniem agrarnem;

4) „wdrożenie rozwiązania sprawy ukraińskiej" drogą „współpracy między elitą intelektu w społeczeństwie polskiem i ukraińskiem".

5) „akcja celem osiągnięcia kanonizacji Królowej Jadwigi, jako sprawy o wielkiem znaczeniu państwowem".

Narazie wiadomo, że „czyn pierwszy" spalił się na panewce, gdyż nawet dzienniki konserwatywne nie potraktowały projektu tego poważnie, wypierając się go, jako inicjatywy prywatnej. Obawiamy się, że czynniki klerykalne obrażą się znów za postawienie sprawy kanonizacji królowej Jadwigi na szarym końcu, po sprawie ukraińskiej i przymierzu militarnym państw, kwestjonujących wzajemnie sobie granice.

Czy nie należałoby przyjaciołom „myśli rdzennie i integralnie konserwatywnej" życzyć, aby rozpoczęli od „ustalenia pewnej ogólnej platformy, która dopiero pewien racjonalny start" umożliwi?

BIAŁE NIEWOLNICE

Wyjątki z „Pamiętników bezrobotnych", wydanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego:

„A oto charakterystyczny obrazek: pracowała sobie 17-letnia sierotka w wielkiej firmie i choć mocno zbiedzona, jednakże o pięknych, lśniących włosach i ciągle załzawionych oczach. Pracowała spokojnie dopóty, dopóki pan majster 60-letni starzec nie zauważył jej piękności. Odtąd ustawicznie ją nachodził, w końcu kategorycznie powiedział, że od dziś nie reperuje jej krosna. Pracowała jeszcze parę tygodni. Ciągle się jej przytrzaskiwały czółenka, wyrywając każdorazowo moc nici. Płakała, rwała sobie włosy, w końcu kierownik wypędził ją, ponieważ „przestała umieć robić". Na nic się zdały wszelkie wyjaśnienia. Jednakowo zawsze brzmiała odpowiedź: „Nie umie robić". Nastąpiły prośby, płacze, padane do nóg. Nic nie pomogło. Nie chciała — więc nie umie robić. Nie miała w Łodzi rodziny, więc o kiju żebraczym powędrowała do Poznania do ciotki". (Pamiętnik Nr. 23, str. 241).

„I zaczęła się męka czekania i chodzenie po odpowiedź... Napróżno, stanowisko bogdanki otrzymaćbym mogła, pracy niestety nie". (Pamiętnik Nr. 26, str. 271).

„.....kilka razy byłam za przyjęciem do pracy w fabryce gdzie dawniej pracowałam, lecz ani sobie mówić nie dano o przyjęciu, gdyż jeszcze wciąż redukują, tak trudno jest o pracę a jednak był taki majster z tej fabryki, co miał w przeciągu tygodnia mnie wkierować do pracy, lecz zażądał takiej zapłaty, jaką uczciwa panienka dać nie może". (Pamiętnik Nr. 27, str. 278.).

„Na ulicy Małej mieszka panna A. K., bardzo uczciwa panienka. Nie mając środków do życia prosiła jakiegoś pana o pracę. Pan ten chciał ofiarować jej pracę, lecz wzamian, by mu się oddała. Długo upierała się, aż głód skłonił ją do tego, a dziś kiedy ma dziecko, została wyrzucona na bruk. I miljon takich rzeczy możnaby pisać bez końca". (Pamiętnik Nr. 28, str. 289).

ZPOWROTEM DO WIĘZIENIA

Zpośród przestępców, zwolnionych na podstawie ostatniej amnestji z więzień warszawskich, aresztowano za nowe przestępstwa 193 osoby.

W tak krótkim czasie blisko 200 osób wróciło do więzienia. Nic łatwiejszego, jak powiedzieć: urodze-

ni przestępcy, predestynowani recydywiści. Będzie to sąd równie łatwy, jak pośpieszny i powierzchowny.

Byłoby rzeczą interesującą zbadać, w jakich warunkach po wypuszczeniu z więzienia znaleźli się ci ludzie, czy mieli z czego żyć i gdzie mieszkać, czy szukali i czy otrzymali pracę, kto się nimi zajął, kto im pomógł i t. d. Ankieta przeprowadzona wśród tych 193 recydywistów przydałaby się bardzo dla pogłębienia sądu o zagadnieniu przestępczości wogóle, o recydywistach w szczególności.

Zapewne ankieta taka potwierdziłaby tezę, że społeczeństwo ma tylu recydywistów, na ilu zasługuje.

NIE TAK ŁATWO...

Nafta, Anglo-Persian Oil Company, lord Deterding... Wyrazy te mówią już same za siebie, i wiadomo doskonale, co się za niemi kryje. Są tu i sute dywidenty akcjonarjuszów, i wyzysk perskich robotników, i „niezbędne potrzeby brytyjskiej admiralicji", — według określenia „Times'a. Nie dziw tedy, że wypowiedzenie koncesji brytyjskiej na eksploatację perskich terenów naftowych rozpętało w Anglji burzę niezadowolenia. Ale jakże odmiennie reagują na „bunt Persów" angielskie czynniki urzędowe w porównaniu z praktyką lat przedwojennych! Jeszcze przed dwudziestu laty wystarczyłoby zjawienie się dwóch krążowników brytyjskich w zatoce Perskiej, by zmusić krnąbnych Persów do uległości. A kto wie, jakie konsekwencje pociągnęłaby za sobą taka „pokojowa" interwencja, desant lub obsadzenie terenów naftowych przez angielskie siły zbrojne? Za „nieposłuszeństwo" Egipcjan zbombardowali Anglicy w r. 1882 Aleksandrję, obsadzili Egipt i dotąd są jego „protektorami".

Losu tego nie uniknęłaby dziś Persja, gdyby... nie to, że jednak coś się na świecie zmieniło. Dziś już admiralicja brytyjska nie odważyłaby się, ani na bombardowanie Busziru, ani na okupację południowej Persji, jakkolwiek „słusznemi" mieni pretensje Anglo - Persian Oil Company. I nie z obawy przed Ligą Narodów lub przed interwencją mocarstw, lecz z obawy przed własnem społeczeństwem.

W FABRYKACH ŚMIERCI

Nowojorski „Times" zamieszcza korespondencję z Genewy, w której następuje wyliczenie zysków przemysłu wojennego: „Kapitał zakładów Vickersa wynosił w roku 1914 27.700.000 dolarów, obecnie podwyższony został do 80 miljonów dolarów. Czeskie zakłady amunicyjne Skoda wypłacały już po wojnie europejskiej następujące dywidendy: r. 1920— 5%, 1921 — 8½%, 1922 i 1923 po 10%, 1924 — 12½%, 1925 — 13¾%, 1926 — 15⅜%, 1927 — 17½%, 1928 — 21⅞%, 1929 i 1930 (już po zawarciu paktu Kellogga) — 28½%.

Amerykański „Pioner Press", wychodzący w St. Paul, pisze:

„Stałą wojnę domową w Chinach wywołali i popierają nieustannie fabrykanci amunicji. Bez ich wpływu nie byłoby wojny boliwijsko - paragwajskiej o głupi Gran Chaco. Bez wpływów międzynarodowej kliki fabrykantów amunicji konflikty i wojny dałyby się rozwikłać pokojowo, albo trwałyby krótko i byłyby mniej niszczycielskie".

MASZERUJĄ GŁODNI...

Przed rokiem na ulicach Berlina zrodziła się inowacja, którą odbitki fotograficzne szybko uczyniły sensacją, zreprodukowaną na cały świat. Pewnego dnia na pięknej Unter den Linden ukazała się młoda dziewczyna, z własnej woli występująca w roli żywej reklamy. Tym razem nie była to jednak reklama cyrku, kina, czy pasty do obuwia. Na szerokich tabliczkach drewnianych, zawieszonych na plecach i piersiach, wielkiemi literami skakał do oczu napis— „Ich suche die Arbeit".

Myślałam wtedy, patrząc na to oryginalne biuro pośrednictwa pracy, że gdyby wszyscy poszukujący jej pewnego dnia wyszli na ulicę z takiemi tablicami — wynalazkiem młodej dziewczyny, — byłaby to najstraszliwsza demonstracja bezrobotnych. Bylibyśmy taką manifestacją wstrząśnięci do głębi, bylibyśmy uderzeni w samo serce poczuciem współwiny społecznej.

Nie wiem, jaki los spotkał młodą dziewczynę, która sama sobie służyła jako biuro pośrednictwa pracy. Może znalazła ową upragnioną pracę, a może — uznano ją za element wywrotowy, niebezpieczny i podburzający?

Znalazła natomiast odzew na swoje bezrobotne hasło u nas. Przed miesiącem szłam właśnie Piotrkowską ulicą w Łodzi. Olbrzymie cyfry bezrobotnych paliły w myślach. Oczy skakały z twarzy na twarz, niezmiennie notując żrącą troskę. I nagle.... Wyprostowana postać starszego pana, o resztkach inteligenckiego wyglądu, dźwiga na piersiach drewnianą tabliczkę z napisem — „PRZYJMĘ KAŻDĄ PRACĘ".

Jeszcze potem raz, już w Warszawie, widziałam opatrzoną napisem, drewnianą pierś innego bezrobotnego. Oto transparent, którego rewolucyjność niewątpliwie uderza w maksymalny ton. Oto znak szczególny i rozpoznawczy nowoczesnych tułaczy, wyzutych ze wszystkiego doszczętnie, nawet — z poczucia własnej potrzebności komukolwiek i czemukolwiek. — Oto wyrzut sumienia przeciwko wszystkim, mającym pracę, i martwy, lecz straszliwy wyraz buntu przeciwko dzisiejszej strukturze świata.

Z niepokojem nasłuchujemy głosów zewsząd. W Niemczech codzienne utarczki policji z bezrobotnymi, których — niech tylko głośniej o sobie przypomną, — praworządność nie omieszka ochrzcić mianem wywrotowego elementu. A potem czytamy: wywrotowe elementy to, wywrotowe elementy tamto... I kiedy tak czytamy, myślimy wreszcie, że elementy wywrotowe to chyba jakieś wrogie siły natury, a nie — żywi ludzie, głodni i znękani.

Na Londyn maszerują głodni. W Ameryce, w tej Ameryce wspaniałej i najbogatszej, pochody głodnych są tak liczne, że urastają do potęgi wrogiej armji. W Waszyngtonie na rogatkach miasta zakładane są przeszkody z drutu kolczastego, a Biały Dom został pośpiesznie ufortyfikowany. Mobilizacja policji i wojska, bomb i granatów, gazów i maszynowych karabinów. A wszystko przeciwko gromadzie, której jedyną bronią jest . . . głód. Przeciwko tym, którzy wołają: „Dajcie nam pracę". Na Boga, czyż przychodziło nam kiedy do głowy, że wołanie o pracę będzie czynem rewolucyjnym, wymierzonym w dobro Ojczyzn, nieomal w istnienie państw? Wolny obywatel ziemi amerykańskiej, skazany od wielu

miesięcy na bezrobocie, ze zdumieniem konstatuje: więc to jest moja ojczyzna?

— Jakież są te ojczyzny? — mówimy wszyscy z nowem zdumieniem i prędko zaglądamy do marzeń naszego dzieciństwa, do pięknych definicji czasów młodości i z rozpaczą łamiemy się w konstatacji bolesnej: to nie miało być tak...

A my, którzy jeszcze pracujemy? Dźwigamy na swoich barkach straszliwy ciężar współodpowiedzialności za to, co jest. Z przerażeniem oglądamy siebie po przeciwnej stronie. Kiedy na Londyn szli nędzni i głodni, kiedy w Berlinie codzień pakują do więzień nową porcję wywrotowego elementu, kiedy rogatki Waszyngtońskie murują zasieki kolczaste, my pytamy samych siebie z przerażeniem i grozą: więc to w obronie n a s?

Cierpi bezrobotny, element wywrotowy i kandydat na przestępcę. Cierpi człowiek pracujący, nieświadomy współsprawca krzywdy, podpora niedobrego ustroju i narzędzie walki z bezrobotnymi.

***

Co myślą sobie ci, którzy w swoich rękach trzymają ekonomiczne losy świata? Co uważają i czekają na co? Nikt przecież nie wierzy, żeby kryzys skończył się niedługo. Przeciwnie, już się mówi głośno o... bankructwie Europy. Przecież wszyscy doskonale wiedzą, że obecny ustrój ekonomiczny nie odpowiada potrzebom ludzkości, skali technicznych udoskonaleń, wzmożonym możliwościom produkcji.

Kłopoty, jakie przeżywa świat, zasługują na pogardliwy uśmiech. Kłopoty te pochodzą przecież stąd, że wszystkiego wyprodukowano zbyt wiele, i że produkować można jeszcze powielekroć więcej. Będziemy kiedyś uznani za największych głupców, jacy kiedykolwiek chodzili po świecie. Dawniej martwiono się przynajmniej klęską nieurodzajów, brakiem urządzeń, sił wytwórczości. My dzisiaj przeżywamy kryzys z powodu nadmiarów. Martwimy się, że pola dały zbyt dobre urodzaje, że maszyny mogą wyprodukować zbyt wiele materjałów odzieżowych, że niema co robić z nadmiarem cukru, pomidorów, stali — wszystkiego. Ale przecież wiemy, że to wszystko kłamstwo. Że niema nadmiaru, bo istnieje nędza i głód. Wiemy, że sprawa skomplikowała się czynnikiem pieniądza, ale przecież pieniądz jest rzeczą umowną, wymyśloną przez człowieka i że może zaistnieć taka umowa, przy której nonsensy jednoczesnego istnienia nadmiaru i braku mogą zniknąć.

Naturalnie, tych trudności nie będą mogli rozwikłać ci, którzy przystępują do załatwienia sprawy, jak do przetargu o swoje indywidualne zyski. Tylko świat pracy, najbardziej liczny i najbardziej twórczy, jest dziś powołany do tego, aby dać nową koncepcję ekonomicznego porządku.

Niestety, świat pracy umysłowej, w pierwszym rzędzie powołany do kształtowania biegu życia i porządku społecznego, organizacyjnie nie dorósł do tego wielkiego zadania. Kiedy się pomyśli, jak wielką siłę reprezentowałby zorganizowany świat pracy, jak znakomicie mógłby zaciężyć swoją wolą i swoją koncepcją na sprawie zbiorowego życia, jak dalece mógłby dyktować warunki organizacji pracy, produkcji i konsumcji, jak wiele mógłby mieć do powiedzenia we wszelkich sprawach porządku społecznego, wtedy — deprymująco uderza rzeczywista anemja przejawów ducha zbiorowego tego świata.

Jasną się staje konieczność bardziej nasilonej działalności organizacyjnej, większego i szerszego zbratania ludzi pracy, bo to jest jedynym warunkiem uzyskania wpływów i przez te wpływy dokonania wielkiej przemiany.

Kazimiera Muszałówna

ROZBROJENIOWA KWADRATURA KOŁA

Komisja Główna Konferencji Rozbrojeniowej starała się sformułować wyniki osiągnięte w t. zw. pewnej fazie konferencji.

Do osiągniętych wyników autorzy rezolucji zaliczali: 1) zakaz powietrznego ataku przeciwko ludności cywilnej, jak też wogóle zakaz bombardowania z powietrza, oraz 2) zakaz wojny chemicznej, bakterjologicznej i 3) zakaz wzniecania pożarów.

Osiągnięto zgodę co do zasad, kwestja zaś środków urzeczywistnienia tych zasad jak też i problem zorganizowania kontroli międzynarodowej, oraz sankcyj, nie zostały opracowane. Wiadomo jednak, iż większość delegacyj proponowała ilościowe, jak też i jakościowe ograniczenie lotnictwa wojennego, oraz kontrolę nad lotnictwem cywilnem i nawet jego internacjonalizację.

Ograniczenie wojny powietrznej zostało w zasadzie zdecydowane bezsprzecznie pod wpływem propozycji Hoovera z dn. 22.-6 b. r., która zawiera nietylko zakaz bombardowania z powietrza, ale również i projekt zakazu posiadania samolotów bombowych. Co zaś się tyczy zakazu wojny chemicznej i bakterjologicznej, to rezolucja Konferencji Rozbrojeniowej nie poczyniła ani kroku naprzód w porównaniu z Protokółem Genewskim z czerwca 1925 r., podpisanym przez delegatów 28 państw.

Problem „humanizacji" wojny ma już swoją bardzo ciekawą historję.

Pewne ograniczenia sposobów prowadzenia wojen znajdujemy już u narodów starożytnych i nawet u ludów pierwotnych — przeważnie na tle wierzeń religijnych.

Dążenie do humanizacji wojny wyraźnie występuje u pisarzy średniowiecza: Honoré Bonnet, Christine de Pisane i u t. zw. kanonistów. Syntezą tych właśnie tendencyj było dzieło „ojca" prawa międzynarodowego, H. Grocjusza „O prawie wojny i pokoju" (1625). Tym samym problemem usilnie zajmował się również Rousseau, który dążył do zamiany subjektywnych kryterjów, wysuwanych przez poprzedników, kryterjami — podstawami objektywnemi. Między innemi Rousseau wysunął teorję: „Wojna jest to stosunek pomiędzy państwami, a nie pomiędzy jednostkami, do tych państw należącemi". W ten sposób dążył Rousseau do rozgraniczenia pomiędzy kombatantami, a ludnością cywilną, której chciał zaoszczędzić okropności wojny.

Teorja Rousseau'a zdobywała coraz więcej zwolenników wśród teoretyków prawa międzynarodowego, wskutek czego powstało międzynarodowe „ustawodawstwo" wojenne.

W r. 1863 dr. Lieber opracował na żądanie prezydenta Lincolna rodzaj kodeksu prowadzenia wojny lądowej. Tą samą kwestją zajmowała się w r. 1874 międzynarodowa konferencja w Brukseli. Następnie Instytut prawa międzynarodowego opracował na sesji

w Oksfordzie rodzaj podręcznika prawa wojny, a w r. 1899 konferencja haska opracowała regulamin wojny lądowej, na podstawie którego poszczególne państwa wydały instrukcje dla swych armji. W miarę rozwoju techniki wojennej konferencje międzynarodowe uchwalały coraz nowe ograniczenia i zakazy (odnośnie kul dum - dum, min, łodzi podwodnych, a ostatnio gazów, bombardowania z powietrza etc.).

Ten rozwój „prawa wojny", te międzynarodowe uchwały, ograniczające swobodę państw co do metody prowadzenia wojny — dały asumpt wybitnym specjalistom prawa międzynarodowego (amerykanie Wheaton i D. Hill, francuz Leseur, niemiec Geffken i t. d.), do twierdzenia, iż prawo międzynarodowe poczyniło wielkie postępy. Niestety rzeczywistość ciągle zadawała temu optymizmowi kłam. To też równolegle z historją restrykcyj w przedmiocie prowadzenia wojen możnaby napisać dzieje systematycznego gwałcenia tych ograniczeń. Zwłaszcza wojna światowa, jak też i kierunek rozwoju nowej techniki wojennej (wojna chemiczna i lotnicza) wykazały kompletne fiasco humanitarnej teorji Rousseau'a i potwierdziły słuszność realistycznej szkoły angielskiej. Doświadczenie nauczyło nas, stwierdził niedawno wódz konserwatystów angielskich Stanley Baldwin, „że w ciężkiej próbie wojny pękają i łamią się wszystkie umowy". Inter arma silent.. leges.

Tezy Konferencji Rozbrojeniowej zanalizował Baldwin w uczciwej i odważnej mowie, (której dłuższe wyjątki przytoczono w n-rze 11-tym „Epoki"). Oświadczył wyraźnie, że nie wierzy, iżby w przyszłej wojnie zakazy bombardowania z powietrza były respektowane.

„Popadłem doprawdy w zwątpienie i rozpacz rzekł Baldwin — widząc, ile to czasu marnuje się w Genewie"...

Rozpacz leadera konserwatystów angielskich jest zupełnie zrozumiała, gdyż Konferencja Rozbrojeniowa, a przed nią Międzynarodówka Socjalistyczna na odbytem w ubiegłym roku we Wiedniu kongresie — wstąpiły na zgoła mylną drogę „humanizacji" wojny, zapominając o wskazówkach historji, zapominając o tem, iż ta humanizacja przeczy samej naturze wojny, i to dziś bardziej niż kiedykolwiek. Dążyć do humanizacji wojny, to tyle, co zajmować się kwadraturą koła.

S. Czeczelnicki

Kto chce przyczynić się do rozwoju niezależnego i poważnego tygodnika, powinien przysparzać prenumeratorów „Epoce"

PRAWDZIWE OBLICZE ŚLĄSKA

ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ P. ST. CZOSNOWSKIEGO

P. St. Czosnowski w artykule p. t. „Czas na inną postawę" (w n-rze 7-ym „Epoki"), omawiającym moją powieść śląską p. t. Wyrąbany chodnik, rozpoczyna go i kończy uwagę, że Liga Narodów nie nagrodziłaby tej książki, jak to uczyniło Śląskie Towarzystwo Literackie. Książka ta bowiem — według p. Czosnowskiego — nie spełnia swego zadania, zajmując postawę negatywną i nienawistną wobec wszystkiego co niemieckie i czeskie, grupując wszystkie światła po stronie polskiej. I w blasku tych patrjotycznych jupiterów nietylko że sam — jak zaznacza dalej p. Czosnowski — pobłażam występek i okrucieństwo polskiego nacjonalizmu, ale wmawiam w czytelnika, że najwyższe niebieskie trybunały bezwzględnej sprawiedliwości przez palce patrzeć będą na występek popełniony w imię sprawy polskiej.

Mam wrażenie, że zachodzi tutaj poważne nieporozumienie. Bo o złą wolę p. Czosnowskiego nie posądzam, broń Boże. Nieporozumienie zaś to wynika chyba z pobieżnego przeczytania Wyrąbanego chodnika, co i to uważam za wytłumaczone, mając na uwadze jego przeszło 1000-stronicową objętość. Wszystkie bowiem te zarzuty, które p. Czosnowski stawia mnie i mojej książce, staną się bezpodstawne dla tego czytelnika, który zatrzyma się nad takiemi postaciami z Wyrąbanego chodnika, jak proboszcz, renegat Sojka, inżynier Hammermann.

Zacznę od początku.

Śląska i jego ludzi nikt prawie nie znał w Polsce, a dzisiaj niewielu tych, coby się mogli tem poszczycić. Śląsk dla Polski przedwojennej uchodził za jakiś kraj egzotyczny, gdzie mieszkała ludność — że tak powiem — półkrwi polskiej. Obecnie zaś wie się potocznie tylko tyle, że na Śląsku były trzy powstania; (o czwartem, na Cieszynie, mało kto wie), że są tutaj kopalnie i huty, a obecnie groźne bezrobocie. Pozatem istnieją w społeczeństwie polskiem dwa pojęcia Ślązaka. Dla jednych przedstawia on koturnowy typ bohatera narodowego z roku 1863, wyniesionego na piedestał romantycznych wzruszeń, ujętego w nimb szczytnego poświęcenia się dla ojczyzny. Dla drugich zaś Ślązak — to synonim człowieka hardego, szorstkiego, kanciastego, gburowatego, nieokrzesanego, zamkniętego w sobie, słowem człowieka, z którym trudno zżyć się nacodzień. I jedni i drudzy mylą się bardzo. W swej książce przedstawiłem wyraźnie współczesny typ Ślązaka, któremu obcą romantyczna idea Polski, który za Polskę walczy i krwawi się, lecz równocześnie walkę o nią łączy z walką socjalną. Miłość do Polski u Ślązaka wyrosła na nienawiści do Niemców czy Czechów, będących dla niego równocześnie przedstawicielami wrogiego robotnikowi kapitalizmu. Stąd też charakter wszystkich czterech powstań śląskich ma zupełnie inne tło, aniżeli powstania polskie w roku 31 lub 63. Być może, że to obniża wartość jego wysiłku w oczach tych, którzy jeszcze radziby patrzeć na tego rodzaju poczynania przez szkiełka romantyzmu i szczytnej bezinteresowności,

jednakże takie traktowanie owego zjawiska, jak wyżej podaję, bliższe życia i prawdy. Że Ślązak szedł do powstania i mścił się nieraz okropnie za swoją krzywdę, czynił to powodowany elementarnym instynktem samoobrony. Ślązak zdawał sobie sprawę, iż czyn jego nieetyczny, i dlatego też starał się sam siebie rozgrzeszyć, nie mogąc znaleźć sobie gdzieindziej rozgrzeszenia:

> „Potempa krwawo mścił się za krzywdę swych braci. — Nie boisz się grzechu? — pytał, któryś z rozważniejszych. — A czy pies, jak jest przy budzie uwiązany, a przyjdzie jaki chachar i bije go kamieniami, czy ten pies też się mo boć grzechu?.... Jak się potem urwie z łańcucha i tamtego dziada pogryzie za swoja krzywda niesłuszno?... Pytom się, czy pies wtedy też się mo boć grzechu?... Myśmy są psy, bo nas tak Niemcy nazywają, i jako psy gryziemy!"...

Ślązacy w mojej książce miewają chwile zastanowienia się, skruchy i przerażenia własną zbrodnią. Lecz zgodnie z rzeczywistością refleksje te ustępowały rychło pod wrażeniem czy doznaniem nowych krzywd. Tam było piekło — nie życie, człowiek stawał się bestją. Zresztą trudno o tem dzisiaj mówić. Kto przeżył te chwile bezpośrednio — nie zapomni ich nigdy. Opisywane — wywołują wrażenie nagonki nacjonalistycznej i przesady „hurapatrjotycznej".

P. Czosnowski twierdzi, że postawa moja wobec Niemców i Czechów jest negatywna i nienawistna, że stosuję symplicystyczną filozofję, iż zjawisko potępiane przeze mnie w obozie przeciwnym, po stronie polskiej uważam, „że to zupełnie coś innego".

P. Czosnowski myli się. Do swojej powieści wprowadziłem typ górnośląskiego księdza, który jest u mnie wyrazicielem tak zwanego „sumienia", istniejącego u Ślązaka. Proboszcz w Wyrąbanym chodniku, przerażony „posiewem i owocem zła", jakie rozpleniło się na Śląsku, usiłuje temu zapobiec, a kiedy czuje się bezsilnym, nie zwraca się „do niebieskich trybunałów bezwzględnej sprawiedliwości, żeby przez palce patrzyły na występek popełniany w imię sprawy polskiej". Przeciwnie. Zwraca się do tych „niebieskich trybunałów" z żarliwą prośbą o opamiętanie dla jego zaślepionych ludzi. Ludzie jego zaś — jak poprzednio wspominałem — również nie proszą o „patrzenie przez palce", lecz o zmiłowanie boskie, któreby odwróciło tamto przekleństwo. Następnie do swej powieści wprowadziłem Niemca, dyrektora Hammermanna. Chyba szlachetniejszego Niemca nie możnaby już przedstawić. Renegat Sojka jest wstrętny i dla Niemców, a u mnie staram się go wybielić, przedstawiając pobudki jego zaprzaństwa.

P. Czosnowski wytyka mi, że pobłażam bezmyślnym i dzikim przejawom nacjonalizmu polskiego na Śląsku. Ależ kiedy mój Ślązak nigdy nie był owym nacjonalistą ani nim nie będzie. Raczej będzie on socjalistą w znaczeniu ideowem. Dla Śląska, a zwłaszcza robotnika śląskiego, zawsze bliższy chleb aniżeli mrzonki nacjonalizmu. Bynajmniej; jego walki powstaniowe były raczej walką socjalną, zmierzającą do usunięcia dotychczasowych t. zw. panów, gnębiących go bezlitośnie pod względem ekonomicznym, narodowym i nawet religijnym. A że ci panowie byli Niemcami lub Czechami, stąd walki jego przybrały charakter nacjonalistyczny.

P. Czosnowski sam zaznacza w swoim artykule, że powieść moja ma wartość dokumentu. Powinno więc to być powodem, że w tego rodzaju powieści nie można było inaczej przedstawić tamtego szmatu życia, jak właśnie w ten sposób, jak to byłem uczyniłem.

Czy Wyrąbany chodnik budzi nienawiść narodową? Owszem — budzi, ale chyba u tego typu czytelnika, u jakiego naprzykład — weźmy prosty przykład—„Ewa" Wittiga w Parku Ujazdowskim budzi perwersyjne dreszczyki.

I jeszcze jedno. Jeżeli weźmiemy pod uwagę czeską książkę Wozki („Polska więzieniem narodów"), film niemiecki „Das Land unter dem Kreuz", słynny paszkwil „Das ist Polen", a ostatnio Ericha Czecha-Jochberga „Im Osten Feuer", nie mówiąc już o takiej powieści niemieckiego żyda p. t. „Oberschlesien", i wielu innych publikacyj, to jakże mizernie wygląda Wyrąbany chodnik w swem rzekomem szerzeniu nienawiści narodowej względem Niemców!... O ilebyśmy się uparli przy owem twierdzeniu, że moja książka szerzy nienawiść czy nacjonalizm, to ze wstydem muszę przyznać, że jej stanowisko w tej materji jest defensywne w porównaniu z tamtą spiętrzoną ofensywą publikacyj niemieckich i czeskich. Przecież trudno wymagać, żeby Polska uważana była przez Polaków za jakąś męczennicę narodów, za Chrystusa narodów z okresu pomylonej towiańszczyzny, że kiedy nas inni atakują, my mamy tylko nabożnie i wzniośle wzdychać do jakichś nowoczesnych majaków o moralnem rozbrojeniu, pacyfizmie i innych utopjach. Jeżeli taki Wozka, Oetzner, Erich Czech-Jachberg i cały legjon innych nacjonalistów wycofa z obiegu swoje książki i spali je publicznie na rynku, kajając się rzewnie za swój ślepy nacjonalizm, wtedy i ja swój Wyrąbany chodnik wycofam i wyrzeknę się go, potępię i spalę na rynku warszawskim, przepraszając Niemców i Czechów, że im taką krzywdę wyrządziłem. I wtedy dopiero nastąpi „czas na inną postawę".

Gustaw Morcinek

ODGŁOSY

»DOMY BEZWSTYDU PUBLICZNEGO«

Nazwę taką otrzymały warszawskie teatrzyki rewjowe — w motywach wyroku warszawskiego Sądu Apelacyjnego, który zmniejszył karę Zacharjaszowi Drożyńskiemu, zabójcy tancerki z „Ananasa" Igi Korczyńskiej, z. 8-miu na 6 lat więzienia. W motywach wyroku czytamy:

„Gdyby nie współczesny upadek moralności publicznej, pozwalający kultywować na pryncypalnych ulicach domy bezwstydu publicznego, gdzie jako największe „przeboje" wystawiane są ciała niewieście, bądź pojedyńczo, bądź w zespołach, a zawsze prawie nago i zawsze z dążnością do uwypuklenia tego, co w męskiej części publiczności wywołuje najsprośniejsze popędy, nie byłoby tragedji Wielgusównej - Korczyńskiej, którą wyrwano ze środowiska biednego, lecz uczciwego poto, by z jej produkcyj, również trudnych, jak przeciwnych moralności, ciągnąć zyski, ani tragedji Drożyńskiego, który był zbyt na-

iwny, by, jak tysiące innych mężczyzn, którzy za pieniądze mogli oglądać w teatrzykach obnażone wdzięki artystek, przyjść, zobaczyć i ze zrównoważeniem pokusę zwyciężyć.

„Sąd wysuwa z tego motyw, który powinien zaważyć korzystnie dla Drożyńskiego przy wymiarze kary, bo społeczeństwo nie ma prawa rzucać najcięższym kamieniem potępienia w tego, kto zawini, nieopatrznie poddawszy się złu, przez to samo społeczeństwo gorąco popieranemu.

„Społeczeństwo może wreszcie w obliczu majestatu śmierci ofiary tego zepsucia opamięta się i zacznie domagać się walki ze złem, które jest tem niebezpieczniejsze, że jest uprzystępnione szerokim masom".

Powodem więc, dla którego teatrzyki rewjowe zostały nazwane „domami bezwstydu publicznego" jest to, że występują tam tancerki „prawie nago". W ten sposób wznowiona została sprawa nagości na scenie, dyskutowana u nas kilka, a zagranicą kilkanaście lat temu. Sąd uważa, że tancerki te wywołują w męskiej części publiczności „najsprośniejsze instynkty". Słowem, Sąd Apelacyjny powraca do tezy, że nagość w tańcu jest rzeczą zasadniczo niemoralną. „Zasadniczo", gdyż w motywach swych Sąd Apelacyjny nie porusza kwestji estetycznej, t. j. nie roztrząsa pytania, czy współczesna sztuka taneczna na wyższym poziomie wywołuje tak samo „najsprośniejsze popędy", jak i popisy niższego gatunku. Ś. p. Korczyńska reprezentowała niewątpliwie artystyczny poziom tańca, to jednak, że występowała „prawie nago", degradowało jej występy zdaniem Sądu Apelacyjnego — do rzędu bezwstydnych, przeciwnych moralności. Tem samem Sąd Apelacyjny dyskwalifikuje moralnie wszystkie artystki współczesne, jeżeli występują w tańcu prawie nago, bez względu na poziom ich występów.

Sprawa ta, aż nazbyt elementarna, zgodnie z prawami sztuki przesądzona, załatwiona, przez to samo nie nadaje się do roztrząsania na łamach naszego pisma.

WSPOMNIENIE

Dnia 11-go b. m. minęła pierwsza rocznica śmierci szlachetnego człowieka i wybitnego działacza, ś. p. Aleksandra Babiańskiego. Godzi się z okazji tej rocznicy przypomnieć o Jego zasługach.

Ś. p. Aleksander Babiański urodził się 4 czerwca 1853 r. na Litwie w ziemi kowieńskiej.

W 1876 roku, jako wychowaniec wyższej uczelni, poszedł w charakterze ochotnika na wojnę rosyjsko-turecką, powrócił z niej w randze porucznika, ukończył następnie wyższą akademję wojskowo- prawniczą i poświęcił się zawodowi sędziowskiemu w ówczesnem sądownictwie wojskowem rosyjskim.

W roku 1904 opuścił stanowisko prokuratora sądu wojskowego petersburskiego, nie chcąc podpisać wyroku śmierci na Finlandczyka, walczącego w obronie niepodległości Finlandji.

Protest ten ocalił życie skazanemu.

Od tego czasu oddał się całkowicie pracy społecznej i politycznej wśród Polaków na terenie dawnej Litwy i wśród emigracji polskiej w Rosji.

Od roku 1907 stanął na czele „Ogniska Polskiego" w Petersburgu, które podtrzymywało i budziło ducha polskiego w licznych szeregach emigracji polskiej w Petersburgu.

Pod jego opieką, z jego czynnym udziałem tworzyły się pierwsze zawiązki ludowej organizacji polskiej w Rosji, p. n. „Promień".

W 1910 r. p. Aleksander Babiański objął wydawnictwo „Dziennika Petersburskiego", jedynego organu demokracji polskiej w Rosji, nie szczędząc pracy i środków materjalnych na utrzymanie tej placówki polskiej.

Będąc w tymże czasie członkiem III Dumy państwowej, p. Aleksander Babiański należał do frakcji konstytucyjno-demokratycznej, — występował zawsze jako przedstawiciel postulatów demokracji polskiej, nieraz narażając się na najcięższe konflikty z oficjalnem narodowo-demokratycznem Kołem Polskiem w Petersburgu.

Dwa lata przed wojną pod kierunkiem Aleksandra Babiańskiego, jako dodatek do „Dziennika Petersburskiego" zaczął wychodzić dodatek p. t. „Głos Młodych", który był pierwszem na terenie państwa rosyjskiego niepodległościowem pismem polskiem. (W piśmie tem pracował ś. p. Tadeusz Hołówko, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Kamiński, Jerzy Drecki, Mieczysław Engel, Juljusz Łukasiewicz i inni).

Od chwili wybuchu wojny Aleksander Babiański stanął na czele i w szeregach Zrzeszenia niepodległościowego Rosji, na czele Polskiego Towarzystwa pomocy ofiarom wojny i w zarządzie Polskiego Komitetu Demokratycznego.

W chwili, gdy Koło Polskie z wielkim trudem wykrztuszało żądanie autonomji dla b. Kongresówki, Aleksander Babiański jawnie i otwarcie proklamował hasło niepodległej Polski demokratycznej, zjednoczonej i z dostępem do morza, umieszczając jeszcze za czasów carskich artykuł z temi postulatami w gaziecie „Birżewyja Wiedomosti".

Artykuł ten był początkiem jawnej dyskusji prasowej w Rosji i nawet w prasie państw koalicji na temat niepodległości Polski i międzynarodowego charakteru sprawy polskiej.

Jednocześnie Aleksander Babiański był niestrudzonym obrońcą i orędownikiem mas uchodźczych polskich w Rosji, a szczególniej najnieszczęśliwszych, t. j. więźniów przewiezionych z więzień rosyjskich w Polsce do głębokiej Rosji a także Polaków t. zw. obcych poddanych.

Dzięki staraniom i zabiegom Aleksandra Babiańskiego uwolnieni zostali wszyscy więźniowie polityczni (Strzelcy, socjaliści i młodzież szkolna), przewiezieni w sierpniu 1915 roku do Rosji.

W 1927 r. za wielkie zasługi w pracy dla Polski przed odzyskaniem niepodległości, został odznaczony komandorją orderu „Polski Odrodzonej" z gwiazdą.

Sercem gorący, charakterem piękny, duchem wzniosły — był jedną z najwspanialszych postaci minionego pokolenia.

NA GWIAZDKĘ

Przypominam sobie dawne, niekoniecznie zresztą dobre czasy, kiedy w tej porze roku pisywało się obszernie o książkach gwiazdkowych. Wszyscy wydawcy zasypywali człowieka stosem możliwie jak najbardziej kolorowych wydawnictw, których kolorowość była stopniowana, w zależności od wieku młodych czytelników. Miało się rozkoszną chwilę zapomnienia, że jest się już dorosłym, zdobywało się trudną sztukę czytania na przepysznych obrazkach Rembowskiego do elementarza Falskiego, przeżywało się dziwne przygody Sindbada, ginęło się w ciągłych katastrofach żeglarskich, dociekało pointy bajek Andersena, staczało się dziesiątki zwycięskich bitew pod wodzą Przyborowskiego lub Gąsiorowskiego, pływało się w głębiach oceanu z Vernem, opłakiwało losy Marjorie z „Gwiazdy Przewodniej", a przedewszystkiem skalpowało się bezustannie Indjan i było się skalpowanym przez nich.

Westchnienie to nie znaczy, że jestem konserwatystą. Przeciwnie, hołduję z całego serca Heinowskiej zasadzie: „Nowe czasy, nowe pieśni!". I właśnie żałuję, że w tej dziedzinie jest tak niewiele prawdziwych nowości. Bo i w tym roku p. Wydawcy obdarzyli mnie łaskawie i to dosyć suto.

„Wyprawa po skarby" Zaleskiej, z okropnym rysunkiem na wstępie, który był tak bliski memu sercu lat temu... (co tam o tem mówić) — dobrze! „Gucio zaczarowany" Urbanowskiej — jeszcze lepiej. Ale przecież nie nowości. A co powiedzieć o „Powiastkach Króciutkich" Niewiadomskiej z ilustracjami Holewińskiego, który był drzeworytnikiem w „Kłosach" w początku lat osiemdziesiątych. „Dzieci pana majstra" Rogoszówny — piękna książka, znacznie już późniejszego rocznika, lecz również nie tak nowa. Z nowszych „Ala w krainie czarów", bardzo ładna i miła książeczka. Z najnowszych świetne talenty: Makuszyński, sam albo z Walentynowiczem, Zarembina, no i Bogusławski.

Dalej interesująca książka Zakrzewskiej dla dorastającej młodzieży, a nawet dla dorosłych, p. t. „Pojednanie", o góralu i niedźwiedziu na tle głęboko odczutej przyrody tatrzańskiej. Żywe opowiadanie Hełm - Pirgowej p. t. „Zastęp" z czasów bojkotu szkoły rosyjskiej, nowe wprawdzie, ale czy nie dosyć już tych tematów?...

Dzisiejsza szkoła i obecna rzeczywistość są przedmiotem wierszyków Mortkowiczówny o 30-tu chłopcach z różnych dzielnic Polski, ilustrowanych przez autorkę.

Świetne zdjęcia z natury daje Lisowska w książce p. t. „Co słychać w lesie?", wprowadzając dzieci w miłej i łatwej formie w życie naszego lasu. Najmłodsi muszą zadowolić się znanym już tematem: „Antoś u krasnoludków".

Krzemieniecka, Januszewska, Korczakowska dały przemiłe książeczki dla małych dzieci, ozdobione bardzo gustownie przez Bobińskiego.

Śród tych wszystkich wytwornych wydawnictw firm renomowanych, skromnie, ale niezwykle, wygląda niewielka, tania książeczka p. t. „Narodziny liter". Wykonali ją wspólnie p. St. Themerson i jego żona, p. Franciszka Themersonowa. Od supełka na chustce prowadzi nas para autorska za rękę, powoli i ostrożnie, aż do książki dzisiejszej, wyjaśniając genezę pisma na węzłach roślinnych, na obrazkach, na piśmie sylabowem sumirskiem, ulepszonem przez Egipcjan i Fenicjan, osiągającem wreszcie w Rzymie starożytnym formę antykwy dzisiejszej. Tekst łatwy, pedagogicznie skonstruowany, ilustracje proste, estetyczne i wyraziste. Całość nowa w pomyśle i wykonaniu, sugestywna, niepozbawiona pewnej wartości propagandowej na rzecz czytelnictwa, a przytem gustowna i pełna wdzięku. Winszuję.

B. I. B.

REFLEKSJE

NOWY DOBROCZYŃCA

Wskutek unieruchomienia huty szklanej „Kara" w Piotrkowie, głoduje tam czterysta pięćdziesiąt rodzin. Z opisu, zamieszczonego w „Wiadomościach Literackich" (nr. 52), dowiadujemy się, w jakich warunkach ci ludzie żyją, ściślej mówiąc — w jakich warunkach giną i dlaczego jeszcze nie umarli z głodu.

„Kradzież — pisze p. Leon Szereszewski — staje się w tych warunkach jedynym sposobem doraźnego zaspokojenia głodu. Chodzi o to, aby było co i gdzie kraść. A więc latem kartofle i kapustę z pola, drzewo w lasach i węgiel z pociągów.

„Do głosu przychodzą tu dzieci. Wspomniał już o tem mój pierwszy rozmówca — ten, który mówił o grzybach i jagodach. Słyszę to coraz częściej. I coraz częściej spotykam się z troską o los dzieci, o ich przyszłość. Z błyszczącemi oczami opowiadają mi szklarze, wydmuchiwacze, — ci arystokraci pomiędzy robotnikami, — że muszą zachęcać dzieci do kradzieży. Bo sami nie umieją. Nie mają niezbędnej postawy, tej łatwości wyciągania rąk, dostatecznego sprytu i orjentacji. Muszą naginać się do nowej roli i nie potrafią uciekać. A jeśli zdecydują się na kradzież — są zdecydowani na wszystko. Idą prosto przed siebie, walą na plecy pierwsze lepsze drzewo czy kłodę i pędzą zpowrotem do domu, zziajani, zmordowani, odurzeni własnym swym brudem, potem i smrodem, — straszni dla siebie samych w tej nowej postawie złodziejskiej, w nowej roli osaczanych zwierząt.

„Dzieci kradną łatwiej. Potrafią zaczaić się w nocy, wtulić w ziemię, spłaszczyć się i wygarnąć trochę kartofli, albo wyrwać głowę kapusty. Chłopcy są zwinni i zgrabni — oni też przedewszystkiem wzięli na siebie trud i niebezpieczeństwo kradzieży, a zarazem obowiązek ratowania rodziny od głodowej śmierci. I walczą na śmierć i życie.

„To nie są żarty. Nasz ustrój społeczny nie zna podobnych obowiązków i do walki z młodocianymi bohaterami wysyła karabiny. Padają strzały i są ofiary. Dużo ofiar.

„Plac boju, to pociągi towarowe. Młodociani hutnicy wskakują w biegu do pociągów, dostają się do wagonów z węglem, — bo tylko o węgiel tu chodzi, — zrzucają węgiel na ziemię, aby potem zeskoczyć, zebrać drogocenny łup i — jeśli się da — wrócić do domu. Ale pociągi obsadzone są ludźmi z karabinami. Ludzie ci strzegą ustroju społecznego. I strzelają. I niezawsze wyprawa kończy się odpoczynkiem przy gorącej kuchni.

„W takiej właśnie walce padł od kuli karabinowej (nie wiem, czy żyje jeszcze) dwunastoletni robotnik, majster wydmuchiwacz w przyszłości, Wieczorek. A wielu jego starszych kolegów leczy się z ran po piotrkowskich szpitalach."

Lecz nie wszyscy bezrobotni hutnicy piotrkowscy kradną. Znalazł się tam dobroczyńca, który sporo rodzin utrzymuje przy życiu. Są mu za to wdzięczni, jako człowiekowi o dobrem sercu.

Tym człowiekiem jest... hycel. Zabija psy bezpańskie, dobija chore zwierzęta, grzebie wszelaką padlinę.

„Nie wierzyłem własnym uszom. Jakże to — padlina! Niezawsze. Zdarzyć się może koń zdrowy, który na szczęście czy nieszczęście złamał nogę. Czyż można pozwolić na zmarnowanie zdrowego mięsa? Mięso to nie jest drogie. Sprzedaje się je na oko. Cztery czy pięć kilo za pięćdziesiąt groszy. Albo i taniej. Czyściciel się nie droży. Ma serce. Gorzej jest, gdy niema dobitego konia. Wtedy bierze się — nawet padlinę.

„Nie podali mi jego nazwiska. Nie powiedzieli gdzie mieszka. Nie wiem nawet, czy w Piotrkowie. Żebym jemu i im nie zaszkodził. Bo mu mięsa sprzedawać nie wolno. Na to są rzeźnicy. I władze mogłyby zainteresować się ich dobroczyńcą. W ten sposób nieczystości miasta znów wracają na stół robotników".

To proste: władze nie mogą pozwolić na sprzedawanie padliny, bo jest dla zdrowia szkodliwa. Ale głodni wolą chorować, niż umierać z głodu.

Powiada jeden z nich:

— „Taką mam czczość w żołądku, szum, ból i zawroty głowy, że gdybym nawet wiedział, że to zaraza — nicby nie pomogło... Byleby dostać tego ścierwa, dostać jaknajwięcej..."

Więc tak: ratunkiem padlina, dobroczyńcą — hycel.

Do tego doszliśmy. Do tego, że hycel, dostarczający taniej padliny, może budzić wdzięczność.

Obywatele! Proszę o chwilę zadumy. I o jakiś wniosek. Jednym z wniosków może być i taki: starać się o stwardnienie sumień, o skamienienie serc, o moralną bezwrażliwość. Żeby można było żyć spokojniej.

Może tak, może tak... *Widz*

W TRAGICZNĄ ROCZNICĘ

Dziesięć lat minęło od owego dnia okropnego, kiedy z ręki szaleńca zginął pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej, ś. p. Gabrjel Narutowicz.

Zbrodnię poprzedziła nieprzytomna agitacja żywiołów nacjonalistycznych, które też były niewątpliwie moralnymi tej zbrodni sprawcami. Wszystkie dokumenty tej moralnej współwiny zebrane zostały w książce ś. p. Tadeusza Hołówki „Prezydent Gabrjel Narutowicz". Nikt lepiej nie oddał atmosfery, jaka panowała w owych dniach ponurych. Nikt też surowiej i sprawiedliwiej nie potępił zarówno mordercy, jak i tych, którzy jego zbrodnię wywołali.

Przytaczamy kilka urywków z rozdziału p. t. „16 grudnia 1922 r."

„Przyszedł tragiczny dzień 16 grudnia 1922 r., dzień, który w historji Polski po wieki zostanie dniem hańby i wstydu, świadectwem, jak dalece obecne pokolenie jest zatrute trucizną niewoli i nie umie należycie i godnie korzystać z wolności, która stała się wreszcie udziałem narodu polskiego.

Pomimo, że w Belwederze panował nastrój niepokoju o życie Prezydenta, pomimo, że sam Prezydent miał przeczucie, iż śmierć się zbliża ku niemu, i jak mówił swym najbliższym, myśli tylko o tem, aby z godnością paść na posterunku, na który wyznaczono go wbrew jego woli — nikt jednak nie przeczuwał tego tragicznego dnia, że śmierć już stoi u drzwi Belwederu.

Automobil stanął przed Zachętą. W westibulu oczekiwali Dostojnika zaproszeni goście z premjerem Nowakiem i kurpusem dyplomatycznym na czele. Prezes Komitetu Kozłowski powitał Prezydenta, który w towarzystwie premjera Nowaka i artysty-malarza Okonia wszedł na górę i zaczął oglądać obrazy. W pewnym momencie podszedł do niego poseł angielski Max Mueller, aby wyrazić żal, że z powodu choroby nie mógł być na zaprzysiężeniu i że, korzystając ze sposobności, składa gratulacje.

— „Raczej kondolencje" — odpowiedział żartobliwie Prezydent.

Były to ostatnie jego słowa. W tej chwili rozległy się trzy głuche, jeden po drugim, wystrzały — i Prezydent bez słowa skargi osunął się na ziemię, aby za sekundę zakończyć życie.

Oszalała furja nienawiści, chłostana tysiącem biczów przez zaślepionych i głuchych na godność i dobrą sławę narodu fanatyków, zatruwająca atmosferę życia narodowego przez tyle lat, a sięgająca swego zenitu w ciągu tragicznych dni grudniowych 1922 r. — znalazła wreszcie ujście. Padł piorun z tej chmury posępnej, złowrogo nad ziemią polską zwisającej, powstałej z zatrutych oparów nienawiści, oszczerstw i nikczemności.

Nie ma się tej nawet ulgi moralnej, aby móc powiedzieć, że Niewiadomski był odosobnionym wyjątkiem. Niestety, dziś imię ludzi tej psychiki i tego światopoglądu, co Niewiadomski — legjon. Należał on do tej samej kategorji przestępców, do której zaliczyć trzeba tych, co wysyłali do Prezydenta Narutowicza anonimowe groźby z zapowiedzią morderstwa, proszki z trucizną, lub chodzili po domach, jak to się działo w Poznaniu, i zbierali składki na „sprzątnięcie tego Żyda".

Z tej dusznej atmosfery, którą wytworzyła agitacja, pełna, jak widzieliśmy, oszczerstw i nienawiści, musiał uderzyć piorun, a to już rzecz wtórna, jakby się ten piorun nazywał. Jeżeli był ktoś, kto mówił, że niema nadziei na odrodzenie gospodarcze Polski, że idą czasy, gdy Polską będą rządzili Niemcy, Żydzi i Ukraińcy, a to wszystko i wyłącznie z racji istnienia „zapory", której nie da się przeskoczyć,— to musiał się znaleźć ktoś inny, kto powiedział sobie: jeśli nie można przeskoczyć, to trzeba usunąć, i ja będę tym, który to uczyni, ale nie pozwolę, aby Polską rządziły mniejszości narodowe.

I trzeba stwierdzić, że o tem, co zrobił Niewiadomski, myślały setki, a może i tysiące ludzi, biorących za dobrą monetę artykuły prasy prawicowej.

Odpowiedzialność moralną za morderstwo wzięli na siebie ci, co zsolidaryzowali się z mordercą i gloryfikowali Niewiadomskiego, który na procesie zaprezentował się jedynie jako biedna ofiara, przesycona nienawiścią, którą ziała prasa prawicowa.

Gloryfikacja Niewiadomskiego jest zrozumiała, jeśli weźmiemy pod uwagę, że czczono w nim człowieka, który zdobył się na zrealizowanie w czynie tego, o czem myślały setki i tysiące, czytając artykuły o „zawadzie" i „zaporze".

GDZIE JEST OJCZYZNA JEZUITY?

(Dokończenie)

II.

Widzimy, jak patrjotyzm Jezuity Skargi nie mógł przełamać granic, które jego uczuciu miłości ojczyzny wykreśliło ślepe posłuszeństwo interesom Rzymu.

Popatrzmy teraz z kolei, jak patrjotyzm biskupa Luçon, kardynała Richelieu, umiał, gdy wybiła godzina wyboru, postawić sprawy ojczyzny ponad interes Rzymu.

Wielki mąż stanu, kierownik polityki Ludwika XIII, jego pierwszy minister przez lat 18 (1624 — 1642), należy to sobie uprzytomnieć, widział dobro państwa w tem samem, co i Skarga: we wzmocnieniu władzy królewskiej przez poskromnienie możnowładców (edykt przeciw pojedynkom, kaźń Montmorency Bouteville'a, Cinq—Mars'a i de Thou, zburzenie wielu warownych zamków magnackich i t. d.), lecz jakże inaczej ten doradca Ludwika XIII traktował sprawy religijne we Francji niż doradca Zygmunta III w Polsce! Richelieu, występując przeciw hugonotom, chciał ich zgnębić nie jako różnowierców, lecz jako partję polityczną, oporną władzy królewskiej, a więc groźną dla wprowadzenia ładu po długotrwałych wojnach religijnych drugiej połowy XVI wieku i stąd dla rozkwitu państwa. I nie wahał się w dążeniu do tych celów użyć środków gwałtownych. Wziął oblężeniem zaciekle bronioną la Rochelle, gdzie hugonoci z górą lat 70 tworzyli prawie niezależną republikę protestancką, doprowadził do poddania się Montauban królowi i w tymże roku 1629 zawarł z protestantami w Alais pakt *(„Edit de grâce“);* układ ten pozbawił ich przywilejów politycznych, t. zw. *places de sureté*, lecz jednocześnie zagwarantował im zupełną wolność sumienia, potwierdzając tem liberalny Edykt Nantejski Henryka IV, którym ten wielki król zlikwidował francuskie wojny religijne.

Tak postąpił kardynał Richelieu z protestantami w kraju: nie jak fanatyczny katolik, lecz jak bystry i przewidujący mąż stanu, dążący do zgniecenia politycznej frondy, uniemożliwiającej po długiej wojnie domowej skonsolidowanie państwa i stworzenie autorytetu władzy królewskiej. Rzym nie miał specjalnego powodu do radości z takiego obrotu sprawy protestantów, gdyż widoczne było, że nie interes kościoła miał Richelieu na oku w swej polityce wewnętrznej, a jedynie interes Francji, według swego najlepszego rozumienia. Niebawem miała się stolica apostolska w drastyczny sposób przekonać, że ten kardynał wyznaje odwrotną niż Jezuita polski zasadę, a mianowicie: „Pierwej Ojczyzny, niż Kościoła bronić“, pierwej bronić sprawy narodowej niż międzynarodowej.

Naczelną ideą w polityce zagranicznej tego wielkiego Francuza przez cały czas jego rządów, ideą, której nie wahał się podporządkować interesów Rzymu, było osłabienie arcykatolickiej dynastji Habsburgów, poniżenie tego wroga potęgi Francji (a chyba niemniej groźnym wrogiem było ówczesne cesarstwo niemieckie dla sąsiadki — Polski?...).

I oto jak się dostojnik kościoła rzymskiego, kardynał Richelieu zachowuje podczas wielkiej walki katolików z protestantami, podczaj Wojny Trzydziestoletniej:

Gdy protestanci niemieccy, gnębieni przez Habsburgów podczas pierwszych dwóch okresów wojny, nazwanych palatyńskim i duńskim, wezwali na pomoc luterańską Szwecję, Francja wraz z Anglją podejmuje się pośrednictwa między wojującemi wówczas ze sobą Polską a Szwecją w zawieszeniu broni w Altmark. Ten sześcioletni rozejm pozwolił Gustawowi Adolfowi ruszyć przeciw cesarzowi i odnieść świetne zwycięstwo pod Breitenfeldem, Lechem i pod Lützen, gdzie sam zginął w roku 1632. Już w roku poprzednim Richelieu, który dotychczas sekretnie podtrzymuje Unję protestancką, jako wroga Habsburgów, zawiera sojusz z wielkim wodzem Północy i przyczynia się tem do niepowodzeń wojsk Ligi katolickiej w trzecim, szwedzkim okresie wojny. A wreszcie w roku 1635 jawnie wypowiada wojnę domowi habsburskiemu, otwierając tem wystąpieniem ostatni, decydujący okres francuski ((1635 — 1648). Zwycięstwa Kondeusza pod Fryburgiem i Nordlingen doprowadzają do pokoju Westfalskiego między cesarzem Niemiec, Francją i Szwecją. Pokój ten upokorzył w osobie Ferdynanda III Habsburgów, niwecząc na zawsze ich usiłowania zjednoczenia Niemiec pod swem berłem, a Francji dał Alzację. Przez ów traktat Francja Ludwika XIV stała się pierwszem mocarstwem Europy. Marzenia wielkiego kardynała - patrjoty spełniły się w 6 lat po jego zgonie, jako owoc konsekwentnej polityki narodowej, nie wątlonej oglądaniem się na Rzym. Papież, rzecz naturalna, odmówił uznania traktatu 1648 roku, lecz nie przeszkodziło to wejściu układu w życie, gdyż rzeczywistość silniejsza jest niż dąsy.

Okrojone do dziedzicznych posiadłości Habsburgów cesarstwo niemieckie, przyjmując teraz nazwę Austrji, powinno było podziękować za swą klęskę doradcom cesarza Ferdynanda II, Jezuitom, którzy rozpalili wojnę, — jak zwycięska Francja za wzrost swej potęgi doradcy Ludwika XIII, kardynałowi Richelieu.

Nie raz jeden kler narodu francuskiego w osobach swych najwyższych przedstawicieli dał dowód, że gdy te dwie wielkości kolidują ze sobą, bliższa mu wielkość ojczyzny, niż wielkość Rzymu. Przypomnijmy sobie choćby rodzaj patrjotyzmu niemniej znakomitego jak Skarga kaznodziei i pisarza, biskupa Bossueta, zredagowaną przezeń a ogłoszoną przez Ludwika XIV słynną „Deklarację kleru Francji“ z r. 1682 i jej zasadnicze artykuły: Niezależność władzy świeckiej od duchownej. — Zastrzeżenie swobód kościoła gallikańskiego, pogwałconych przez stolicę apostolską. — Uznanie za najwyższy autorytet w sprawach Kościoła Soborów Powszechnych, nie papieża...

Już wtedy ambitna Francja nie zasługiwała na epitet, jakim Polska, mająca zawsze do dyspozycji w stosunku do Rzymu więcej sentymentu niż rozumu, się chlubi: *semper fidelis*.

Francja jest semper fidelis tylko Francji i Człowieczeństwu.

Wacław Rogowicz

OD CHEDERU DO KRYMINAŁU

W czasach wstrząsów i przewrotów każdy najskromniejszy nawet „zjadacz chleba" staje się widzem, a nieraz uczestnikiem zdarzeń o dziejowem znaczeniu. Gdy tylko zdoła uświadomić sobie ten fakt, a posiada żyłkę literacką i umiejętność pisania — choćby w bardzo niedoskonałym stopniu, bierze pióro do ręki i przelewa na papier swoje przeżycia wewnętrzne i zewnętrzne. Tak powstają obecnie setki tomów, zawierających „pamiętniki" czy „wspomnienia".

Nie jest to zresztą cechą wyłączną dni dzisiejszych. Z czasów Sejmu czteroletniego, z epopei Napoleońskiej, z lat popowstaniowych posiadamy obfite źródła dzięki zapiskom aktorów lub spektatorów wydarzeń. Jeśli teraz w powszechnem tem zjawisku daje się zauważyć coś nowego — to wynikły z ogólnej demokratyzacji udział w twórczości pamiętnikarskiej najszerszych warstw społecznych, świeżo zaangażowanych w życiu publicznem. Czy to Franciszek Magryś, czcigodny chłop małopolski, czy wielkopolanin Władysław Berkan, własną pracą dochodzący do zamożności i znaczenia w społeczeństwie czy górnik polski Morcinek, czy robotnik Jakób Wojciechowski, tułający się po zarobkach na wychodźtwie — wszyscy oni, dając własną autobiografję, stają się odzwierciadleniem swoich sfer, stron i czasów. O ważności dla nauki tego materjału społecznego i psychologicznego, pochodzącego wprost z pierwszej ręki, świadczy doskonałe studjum J. Chałasińskiego, opracowane w Polskim Instytucie Socjologicznym w Poznaniu p. t. „Drogi awansu społecznego robotnika".

Z tych samych pobudek zrodził się i został wydany drukiem „Życiorys własny przestępcy"*) Autor jego ukrywa się pod pseudonimem: „Urke-Nachalnik". Pierwszy człon tego kryptonizmu oznacza w gwarze złodziejskiej dzielnego włamywacza międzynarodowego, drugi — jest przezwiskiem, jakie nosił autor w świecie przestępców kryminalnych.

Mamy bowiem przed sobą autentycznego złodzieja i włamywacza, który opowiada swe życie od lat najmłodszych do chwili przełomowej w dziejach Polski, stanowiącej też punkt zwrotny w jego losach — do dnia rozbrojenia Niemców i wypuszczenia trzymanych przez nich więźniów — 11 listopada 1918 roku. Tak to historyczna data dla Narodu wplątała się w sposób naturalny w prywatne życie upadłej istoty: wyzwala ją z kajdan.

Zanim jednak dostał się Urke - Nachalnik do lochu, w którym dźwigał kajdany, jako niebezpieczny recydywista i uciekinier, odbył długą drogę staczania się na dół, żywo, plastycznie i nie bez taktu opisaną w tym „Życiorysie własnym". Czyta się go nietylko z największem zainteresowaniem, jak interesującą powieść kryminalną, tem lepszą, że pozbawioną zwykłych w tego rodzaju utworach, naciągań, sztucznych zbiegów okoliczności i nielogicznych sytuacji, czyta się, jak dokument obyczajowy naszych czasów, niefałszowany, niepodmalowany dla jakichś celów pobocznych, dokument tchnący żywą prawdą. To też zarówno ludzie nauki: socjolodzy, prawnicy, psycholodzy, jak i praktycy, stykający się z tytułem swego zawodu ze światem przestępstwa: policja, sądownicy, władze więzienne — znajdą w tej książce wiele cennego dla siebie materjału. Przeciętny czytelnik zaś zainteresuje się przedewszystkiem fabułą i barwnym obrazem tych środowisk, wśród których Urke - Nachalnik obracał się, a które stanowią istotny składnik naszej rzeczywistości.

Jest on Żydem, synem zamożnego kupca z małego miasteczka położonego nad Narwią, w odległości 3 mil od Łomży. Ojciec jego cieszył się jaknajlepszą opinją, był człowiekiem religijnym, ale postępowym. Matka natomiast pochodziła z rodziny chasydskiej i chciała pierworodnego wykierować na rabina i cadyka. Dlatego, gdy ukończył pięć lat, przeforsowała oddanie go do chederu. Ładna to była, jak na początek XX wieku uczelnia, a że niewiele od tego czasu zmieniła się, przytaczamy jej opis z „Życiorysu własnego przestępcy".

„Izba to nieduża, mieszcząca się w suterenie. Nigdy nie była wietrzona. Stale zapełniający ją uczniowie oddychali dymem i wyziewami Nad gromadką dzieci królował rebe, stojąc w środku chederu, wyprostowany, niemal groźny. W prawej ręce trzymał berło dziesięcioramienne, wszechwładny kańczug, śmigając po plecach bliżej siedzących chłopców więcej dla wprawy, niż z potrzeby. Wszyscy zbijaliśmy się wówczas w kupkę... W tym przybytku wiedzy musiałem przebywać codziennie od godz. 8 rano do 9 wieczór. Jeden dzień był podobny do drugiego. Żadnych zmian. Rebe nigdy nie pozwolił otwierać okien. Słońce także nigdy do naszego chederu nie zajrzało, albowiem w pobliżu stał chlew, w którym rebe trzymał swój żywy inwentarz, składający się z dwóch kóz i czterech koźląt... W chederze mimo wszystko uczyłem się dobrze. Rebe chwalił mnie przed matką i ręczył, że wyrośnie ze mnie „wielki człowiek". On każdemu przepowiadał przyszłość...

Rebe najwięcej złych wróżb wystawiał tym dzieciom, których rodzice byli nieregularni w opłacie za naukę; a ponieważ moi rodzice na czas płacili, więc wychwalał mnie, że jestem „cudownem dzieckiem" do nauki. Coprawda szturchańca oberwałem nieraz, ale tłumaczył to koniecznością, twierdząc, że każdy wychowawca, który naprawdę dba o los ucznia, musi go bić, bo inaczej wyrośnie na „goja".

Po pewnym czasie dzieciak miał dość tego chederu: nie chciał doń wrócić. Oddano go więc do innego. Tak zwiedził ich kilka, aż do dwunastego roku życia. „Dziecko żadnego narodu — pisze autor w wyniku tych doświadczeń — nie przechodzi tak okropnych mąk w szkołach, jak dziecko żydowskie w tych „starotypowych" chederach. A trzeba wiedzieć, iż jeden cheder jest podobny do drugiego, jak dwie krople wody... Przez cały czas mojej nauki nie dowiedziałem się nawet ile jest części świata. „Znałem zato: „pięcioro ksiąg, proroków, początki Talmudu i różne inne jeszcze mądrości, które są dostępne tylko dla syna wybranego narodu. Umiałem także pisać po żydowsku i hebrajsku. Z nauk świeckich znałem cztery działania, co ma wystarczyć Żydowi w jego życiu na tym świecie".

Na wyższe studja oddano go do „jeszywetu", gdzie

*) Opracował Stanisław Kowalski, mgr. fil., przedmowę napisał dr. Stefan Błachowski, prof. Uniwersytetu Poznańskiego. Nakładem Tow. Opieki nad więźniami „Patronat". Poznań 1933.

kształcą na rabinów. „W oddziale pierwszym wykładał starzec z siwą brodą, o natchnionej twarzy. Wykładał powoli i zrozumiale, a gdy trafiliśmy na rozdział w Talmudzie, w którym traktowano o stosunkach mężczyzn do kobiet, kazał przepuścić jedną lub dwie strony, ażeby tego tematu nie poruszyć. My jednak ze swej strony nie szczędziliśmy wysiłku, by skrycie przejrzeć co tam się kryje"..

Unikanie rozmowy o „nieczystem stworzeniu, jakiem jest kobieta", nie ustrzegło trzynastoletniego kandydata rabinackiego od grzechu. Wystarczy powiedzieć, że umieszczono go na stancji u małżeństwa, składającego się z siedemdziesięcioletniego pobożnego starca i zaledwie dwudziestodziewięcioletniej żony, która tak się czule zaopiekowała pupilkiem, że po pół roku rozchorował się z wycieńczenia..

Gdy wreszcie powrócił do zdrowia i do „jeszywetu" łomżyńskiego, zamieszkał w hotelu. Wtedy znów koleżkowie wciągnęli go do grona, które co piątek zbierało się w najgłębszej tajemnicy na strychu „jeszywetu", gdzie golono się, palono papierosy, grano w karty i opowiadano sobie o kobietach, „opierając swe twierdzenia na Talmudzie, że rozkosze, jakie kobieta daje mężczyźnie, równają się rozkoszom raju".

Skutek tej edukacji był taki, że trzeba było młodzieńca przenieść do innej uczelni. Pojechał więc w daleką podróż do słynnego „jeszywetu", utrzymywanego ze składek amerykańskich w mieście B. nad Dnieprem. Tam otrzymał smutną wiadomość o śmierci matki. Ojciec przestał mu przysyłać pieniądze. Musiał, wzorem ubogich „jeszywetan", korzystać z darmowych obiadów u nabożnych żydów. Najlepszy „dzień" miał u pewnej dobroczynnej kobiety nie pierwszej młodości. Okazało się wkrótce, że utrzymywała ona dom publiczny. Kandydat na rabina zbyt długo tam przesiadywał, zaniedbał się w nauce, aż wreszcie postanowił wrócić do domu.

Miał już lat 17, a na pytania tak proste, jak: za którego króla żydzi przybyli do Polski lub w jakiej części świata leży Palestyna — nie umiał dać odpowiedzi.

W domu zastał macochę i zły humor ojca, który mu oświadczył, że powinien wziąć się do jakiejś pracy, bo z nauki jeszywetowej nic nie będzie.

„Na drugi dzień po tej rozmowie, wyznaje autor— posłany zostałem przez ojca do jednego z dłużników po odbiór 82 rubli za mąkę. Gdym pieniądze odebrał, powstała w mej głowie szalona myśl: „Masz pieniądze, możesz jechać, gdzie chcesz".

I pojechał. Znalazł się w Wilnie, tam go ściągnięto do jakiejś spelunki i obrano z gotówki.

Głodny, bezdomny, w obcem mieście udał się do bóżnicy i zagłębił w modlitwę. „Izames" zaopiekował się nim, nakarmił i wynalazł miejsce nauczyciela hebrajskiego u zamożnych żydów, przebywających na letnisku. Tu nasz młodzian zakochał się w córeczce Soni i bez trudności ją posiadł. Jakaż była jednak jego rozpacz i rozczarowanie, gdy pewnej nocy spostrzegł w jej pokoju studenta — korepetytora. Mszcząc się na rywalu, zabrał mu portfel, złoty zegarek i uciekł, gdzie oczy poniosą. Ale na najbliższej stacyjce już go złapano, zakuto w kajdanki i osadzono w areszcie.

Tak się zaczęła karjera złodziejska Urke - Nachalnika. Z pierwszego, rosyjskiego jeszcze więzienia wykupił go ojciec, który każdemu opowiadał o kradzieży syna. „Tyle wstydu wyznaje Nachalnik — jeszcze nigdy, ani przedtem, ani potem nie przeżyłem... Biedny mój ojciec zapewne sądził, że w ten sposób obrzydzi mi występne życie. Taktyka ta wszakże minęła się z celem i raczej przyśpieszyła zrządzenie losu."

Odtąd poznaje coraz lepiej podziemny świat występku i coraz inne więzienia. Oddany na praktykę do piekarza stryja — ucieka stamtąd. Wynajmuje się za furmana do przedsiębiorstwa przewozowego, które jest w stosunkach ze złodziejami. Zrazu podwozi ich „na robotę", potem sam bierze w niej udział, odwiedza wszystkie „meliny", wiąże się z zawodowemi prostytutkami, na dobre zapoznaje się ze sztuką kradzieży pod kierunkiem mistrza „Cwajnosa" i przy pomocy t. zw. „koników", rekrutujących się z pośród sierot „Ażgochas josemim" (Tow. opieki nad sierotami).

Niebezpieczny sposób „zarobkowania" zmusza go do częstego zmieniania miejsca pobytu: z jakiegoś miasta rosyjskiego przenosi się do Łomży, później dostaje się do Berlina, do Warszawy, do Wilna, robi dalekie wyprawy na miasteczka prowincjonalne, dociera na Litwę, ale najczęściej operuje w stronach ojczystych, w Łomży. W pewnym momencie chce nawet wrócić pod dach rodzicielski, poprawić się, ofiarowuje zrujnowanemu wojną ojcu pomoc finansową, ale ten odtrąca ją z pogardą.

— Komu te pieniądze zginęły? Ja nie chcę ciebie znać i twych pieniędzy. Wynoś mi się złodzieju razem z niemi.

Ale marnotrawny syn nie daje za wygraną. Pozostaje w miasteczku rodzinnem, przyjmując u niemieckich okupantów posadę tłumacza, zatrudniony jest przez nich przy zwózce materjałów do budowy mostu na Narwi. Może osiedli się tu już na stałe i ustatkuje. Zwłaszcza, że atmosfera jest mu przyjazna: „Żydzi w miasteczku — pisze — przyjęli mnie tym razem więcej życzliwie, niż ojciec. Zwąchali, że mam pieniądze". Trwało tak jakiś czas. Nagle — „sam nie wiem skąd po miasteczku rozniosła się wieść, że widziano mnie, jak zajadałem prawdziwą szynkę... Nowinę tę, wołającą o pomstę do nieba, podawali sobie żydzi z ust do ust. Stare żydówki o tem głośno mówiły... Chasydzi, patrząc na mnie, kiwali smutnie brodami, zapewniając jeden drugiego, że się zadławię".

Pobyt w tych warunkach w miasteczku stał się niemożliwy. Nachalnik wyjeżdża do Niemiec i zostaje tam prawdziwym międzynarodowym „urke". Wkrótce aresztują go w Berlinie i skazują na 10 lat Zuchthausu. Ale przy pomocy kamratów, którzy mu dostarczyli „włosów", ucieka z więzienia, przepiłowawszy kraty. Wraca do kraju, aby znów w Łomży dostać się pod klucz, do „czerwoniaka" i zaznać tam okrucieństw okupacyjnych więzień. Głód, poniewierkę, znęcanie się opisuje w sposób niezwykle plastyczny.

„Ról" (starszy dozorca) rano, gdy przychodził na służbę, przynosił pęk witek moczonych w wodzie, a do wieczora miał wszystkie potrzaskane. Starał się bić po twarzy; jęki katowanych i wołanie „O Jezus" było słychać niemal co chwilę z innych cel... Nie było nawet tygodnia, by się ktoś nie powiesił. Nikt się już nigdy o tem nie dowiedział, w jaki sposób niektórzy umierali. Grube mury „czerwoniaka" i lochy podziemne potrafiły wchłonąć tę tajemnicę śmierci". Przywiązując wielką wagę do powiększenia płodów

rolnych, niemcy orali ludźmi. „Zaprzągnięto sześciu więźniów do pługa i cały kawał pola przy więzieniu pooraliśmy. Chłopi i baby, przechodząc koło nas i widząc, jak Niemcy nas popędzają w pługu, żegnali się nabożnie"...

Wypuszczony przed upływem kary, Nachalnik przystaje do koniokradów, co było najbezpieczniejszym rodzajem złodziejstwa, gdyż „Niemcy patrzyli na to przez palce, wiedząc, że złodzieje kradną te konie dla „Vaterlandu". Skupywane przez paserów za tanie pieniądze szły one do Niemiec na potrzeby wojskowe; byle miały przepisowy wzrost. I byłby może nasz Urke doczekał szczęśliwie końca wojny na wolności, gdyby go nie zgubiły kobiety. Z zazdrości jedna o drugą, zdradziła któraś kryjówkę niewiernego amanta i ten znów powędrował do „czerwoniaka" łomżyńskiego. Starannie przygotowywana ucieczka nie powiodła się; zbity, zakuty w kajdany i rzucony do najgłębszego lochu — stracił resztę nadziei. Wyzwolenie przyszło nieoczekiwanie. Pewnego dnia wezwano go do kancelarji. Stały już tam cztery wynędzniałe postacie, pobrzękujące kajdanami. Do wszystkich zwrócił się nowomianowany naczelnik więzienia, Polak, p. Junczys, z następującą przemową:

— Chłopcy, od dzisiaj jesteśmy wolnym narodem polskim. Niemiec został wygnany na zbity łeb z naszej ziemi ojczystej. Nie będzie on was więcej katował. Wkrótce przejrzy się wasze papiery i po kolei pójdziecie do rodziców, do matek i do sióstr. Nie będziemy was kuć w kajdany; starajcie się od dziś zostać pożytecznymi dla społeczeństwa, a wszystkie wasze grzechy pójdą w zapomnienie.

— Niech żyje Polska! — było odpowiedzią na te słowa, a całe więzienie okrzyk ten powtórzyło.

Bronisław Żarski

LUDOWA TWÓRCZOŚĆ ARTYSTYCZNA

Sto lat temu przemysł maszynowy wyszedł z Europy na podbój rynków światowych i z końcem ubiegłego stulecia opasał cały glob ziemski systemem wymiany surowców, fabrykatów, złota i pracy. Na tyłach fabryk pozostały jednak tu i ówdzie resztki starej cywilizacji ekonomicznej w postaci gospodarstw pierwotnych, których posiadacze nic lub nic prawie nie sprzedają i nic nie kupują, wyrabiając sami wszystkie przedmioty swego użytku. Gospodarstwa te posiadają dziś pewną aktualność, ponieważ — tworząc zamknięte w sobie całości ekonomiczne, niby minjaturowe koncerny pionowe — nie uległy światowemu kryzysowi wymiany.

Poza ich osobliwością ekonomiczną gospodarstwa pierwotne posiadają jeszcze jedną iteresującą właściwość, jako jedyne źródło żywej sztuki ludowej. Rolnicy, wytwarzający u siebie wszystkie przedmioty domowego użytku, przechowali sięgające w głąb tysiącleci tradycje, procedury, wzory, motywy i — co być może najważniejsze — nastawienie psychiczne niezbędne do ich specyficznej twórczości artystycznej.

Oddalając się od swych źródeł ludowych wielka sztuka nie zerwała nigdy całkowicie więzów łączących ją ze sztuką ludową. Pomijając sztukę starożytną i średniowieczną, sama historja sztuki nowożytnej zawiera kilka okresów powrotu do ludowości.

W wieku XVII znajdujemy sformułowaną przed romantyzmem doktrynę, głoszącą, że źródło prawdziwej poezji znajduje się w ludzie prostym. W tymże czasie obok malarstwa religijnego i dworskiego pojawia się malarstwo inspirujące się z obserwacji natury i ludu. Po okresie racjonalizmu wieku XVIII, romantyzm czerpie swe natchnienie z pieśni i obyczajów ludowych. Doniosłość tego źródła inspiracji dla naszej literatury oceni każdy, przypominając sobie Mickiewicza. Wreszcie w końcu ubiegłego stulecia, zwłaszcza w Polsce, sztuka t. z. neoromantyczna, zarówno w dziedzinie plastyki, jak literatury i muzyki, czerpie znów ze źródeł ludowych.

Po okresie romantyzmu nadchodzi na całym świecie zmierzch ludowej twórczości artystycznej. Tam, gdzie rolnicy przestają nosić samodziały, już przedtem zamilkła pieśń ludowa. Dlatego najnowsze próby powrotu sztuki do jej źródeł ludowych zwracać się muszą do krajów egzotycznych, ubogich, mniej głęboko przenikniętych przez światowe procesy wymiany. Wszyscy pamiętamy niedawne powodzenie sztuki murzyńskiej w plastyce i muzyce.

Kraje należące do t. z. cywilizacji zachodniej utraciły wszelki kontakt bezpośredni z samorzutną twórczością ludową, związaną, jak widzieliśmy, z pewnym zanikającym typem gospodarstw rolnych. Do niedawna przemysł ludowy istniał w Europie już tylko w krajach słowiańskich i muzułmańskich, graniczących z Małą i Środkową Azją, ojczyzną t. z. dywana perskiego. Gwałtowna industrjalizacja Unji Sowieckiej pociągnęła za sobą zmierzch przemysłu ludowego w krajach leżących na wschód od Polski. Kraje Islamu przeszły w latach powojennych ewolucję wewnętrzną kładącą kres ich tradycyjnej twórczości ludowej. W chwili obecnej Polska jest jednym z nielicznych krajów posiadających jeszcze stary, samorzutny przemysł artystyczny.

Handel przedmiotami przemysłu ludowego był zawsze bardzo ograniczony. Przedmioty te, wyrabiane ręcznie przy pomocy bardzo prostych narzędzi w miesiącach zimowych, nie mogły powstawać masowo, jak towary produkowane przez maszyny. Nadto w samem założeniu swem wyroby te, powstające w gospodarstwach o obrocie wewnętrznym, nie były przeznaczone na sprzedaż. Okresy większej podaży ich zbiegały się najczęściej z okresami zubożenia wsi o gospodarce pierwotnej. Wielka wyprzedaż dywanów wschodnich w końcu ubiegłego i początku obecnego stulecia była zjawiskiem wynikającem z ówczesnego upadku ekonomicznego wsi tureckiej.

Dzisiejszy nasz kryzys rolniczy, powiększając liczbę gospodarstw pierwotnych o zamkniętym obrocie wewnętrznym i zmuszając jednocześnie rolników do poszukiwania zarobków ubocznych, przyczynił się do zwiększenia produkcji i podaży ludowych wyrobów artystycznych. Organizacją pośrednictwa między wytwórcami i nabywcami zajęły się Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego, powstałe w większej części po wojnie i korzystające w swej akcji z pomocy państwowej na podstawie Ustawy o popieraniu przemysłu ludowego z r. 1926. Dzięki ich wysiłkom cały szereg wyrobów artystycznych, znanych jedynie nielicznym amatorom, został udostępniony szerokiej publiczności w formie wystaw, zbiorów muzealnych, wyprzedaży jednorazowych i wreszcie w postaci organizacji t. zw. bazarów, stałych punktów sprzedaży wyrobów kupowanych bezpośrednio u producenta.

Z akcji wymienionych Towarzystw, zdążającej do sprzedaży większej ilości wyrobów przemysłu ludowego, wyłoniło się nowe, bardzo delikatne zagadnienie zastosowania praktycznego tych wyrobów, wyrwanych ze swego otoczenia i przeniesionych do miasta.

Poza wystawami i wyprzedażami regjonalnemi w Wilnie, Lwowie, Tarnopolu, Białymstoku, Brześciu i t. d. Warszawa widziała w 1930 r. w Domu Baryczków wystawę największego bodaj zbioru przedmiotów przemysłu ludowego, zgromadzonego pod kierunkiem K. Stryjeńskiego dla Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Zbiór ten, będący własnością państwową, spoczywa dziś w skrzyniach w braku odpowiedniego lokalu. W 1930 i 1931 r. miały miejsce wystawy tkanin nowogródzkich i wileńskich. Nowe kolekcje przeznaczone na sprzedaż można nadto oglądać co pewien czas w Bazarze przy Warszawskim T-wie Przemysłu Ludowego przy ul. Tamka 1.

Wreszcie ostatnią z kolei jest obecna wystawa haftów ludowych z różnych stron Polski, otwarta w dniu 7 b. m. w lokalu tegoż Towarzystwa.

Wystawy te cieszyły się coraz większem i zasłużonem powodzeniem. Każda z nich zawierała szereg wyrobów artystycznych, których nieoczekiwana przez widza oryginalność, siła i wzruszająca prostota wyrazu pozostawiały niezapomniane wrażenie.

Jerzy Stempowski

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wielkim poetą jest Maurycy Maeterlinck, twórczość jego wniosła do skarbnicy kultury bezsprzeczne wartości. Ale, często zdarza się, że kiedy myśliciele-poeci zabierają się do polityki i socjologji, bieg ich rozumowania staje się mętny i chaotyczny.

„La Nation Belge" rozpisała ankietę na temat „Burżuazja w chwili obecnej i jej przyszłość". Wielki poeta belgijski nadesłał odpowiedź, zawartą w 4 punktach. W pierwszych trzech charakteryzuje teraźniejszość i przeszłość, twierdząc, że „nie burżuazja i jej ideologja, ale ideje komunistyczne i kolektywistyczne są w przededniu upadku", że „burżuazja nie ponosi odpowiedzialności za wywoływanie wojny i obecny kryzys, a tylko Niemcy".

Wynikałoby z tego, że w Niemczech nie było burżuazji przed wojną. To jeszcze nic, bo ostatnia teza Maeterlincka obala wszystkie poprzednie, zawierające ponurą przepowiednię na przyszłość. Brzmi ona tak: „poniewierana ludzkość, żyjąca od lat w nędzy i okropnościach bez nazwy, porwać się musi na jakiś szaleńczy czyn radykalny..."

Któż to jest ta „poniewierana ludzkość w okropnościach bez nazwy", czyżby nie ponosząca winy za wojnę burżuazja, a może też są to dziesiątki miljonów bezrobotnych z rodzinami, które do „burżuazji" przecież nie należą?

Przepowiednia Maeterlincka jest istotnie trafna, ale zupełnie sprzeczna z przesłankami wielkiego poety.

Dość przejrzeć pobieżnie bilans wydarzeń międzynarodowych tygodnia ubiegłego, aby przekonać się, jak ogarnięty kryzysem świat kapitalistyczny idzie ku nowym decydującym wypadkom.

Może to będzie właśnie, ów „szaleńczy czyn", który przeczuwa instynktem poety Maeterlinck.

W każdym razie w Moskwie śmieją się i szydzą z tego, co dzieje się w Europie i w Ameryce. Historja ostatnich not amerykańsko-europejskich o długach, które trzeba zapłacić, a których zapłacić nie można, sławetne narady pięciu w Genewie zakończone wspólnym „uzgodnionym protokółem", który każdy rozumie, jak się komu podoba, bezsilne przelewanie ze Zgromadzenia do Rady, a z Rady do Komitetu 19-tu najścia Japonji na Mandżurję — wszystko to razem uprawnia Karola Radka do pisania w „Izwiestjach", że „świat kapitalistyczny bawi się w najgłupszą grę na świecie — „yo-yo".

Śledząc bieg myśli publicysty sowieckiego, trudno nie przyznać mu racji.

„Yo-yo, to symbol kapitalizmu powojennego. Kulka spada, podnosi się, spada z powrotem, sznureczek zwija się i rozwija, aż... pęknie".

Gdy zawarto układy lozańskie, cóż była za radość na świecie z powodu osiągnięcia rozsądnego kompromisu, który raz na zawsze usuwa zatruwające atmosferę wyziewy nieufności powojennej. Entuzjazm (pomimo słów krytyki) był powszechny. Kulka yo-yo szła do góry. Aliści przyszedł fatalny — 15 grudnia, Ameryka zawołała: płacić, kulka spadła i mamy znowu płacz i zgrzytanie zębów.

Stany Zjednoczone zemściły się za Ottawę — zauważa Karol Radek — inaczej być nie mogło.

A w dziedzinie t. zw. rozbrojenia ta sama historja: od formułki do formułki przechodzi Europa stany entuzjazmu z powodu powszechnego porozumienia i rozpaczy z powodu powszechnej waśni: kulka idzie w górę i znowu spada, zabawa w yo-yo trwa.

Gdy mowa o długach, Stany Zjednoczone oświadczają: zapłaćcie i pomówmy poważnie o rozbrojeniu, a zaoszczędzicie pieniądze przeznaczone na zbrojenia.

Jednocześnie organ amerykańskich kół wojskowych „Army and Navy Journal" w Nr. z dn. 29.X pisze:

„Współzawodnictwo polityk państwowych, konflikty interesów żywotnych stworzyły stan rzeczy, który czyni niemożliwem urzeczywistnienie ideału rozbrojenia... We wszystkich rokowaniach o rozbrojeniu, szczerość jest tylko maską hipokryzji."

W czasach, kiedy Radek na łamach „Izwiestji" charakteryzuje złośliwie i dobitnie międzynarodową grę w yo-yo, u nas także mówi się publicznie o stanie rzeczy na świecie. Np. kapitan Mieczysław Fularski, wygłasza przez radjo odczyt „o kraju, czarnych koszul"; wzdycha przy tem z zachwytem: „jakże szczęśliwe są narody urządzone po dyktatorsku przez zwycięskich wodzów."

Wzdychający w ten sposób nie widzą co dzieje się w krajach rządzonych po dyktatorsku. Nie widzą, że granica włosko-jugosłowiańska nad Adrjatykiem jest stosem, który od lada iskry może zapłonąć. Z obu stron tej granicy wyładowuje się codzień nienawiść ludzka, mobilizują się siły, usunięte od produkcyjnej pracy wewnątrz swoich społeczeństw, porusza się czynniki, odwracające uwagę mas od ich nędzy w kierunku rzekomego wroga sąsiada.

Serbowie niszczą nad Adrjatykiem pomniki kultury weneckiej, Włosi biją szyby w konsulatach jugosłowiańskich, tu i tam chodzą demonstracje pod hasłami zemsty i walki. Włochy fortyfikują granicę z Jugosławją (donoszą o tem zagrzebskie „Novosti"), Jugosłowianie szkolą nad granicą Italji samoloty wojenne (donosi o tem „Tribuna" rzymska).

A co dzieje się wewnątrz krajów rządzonych po dyktatorsku, o tem z prasy i tak niewiele dowiemy się, ale warto zanotować, że w tym samym czasie i w Italji i w Jugosławji głowią się mężo-

wie stanu rządzących reżimów, jakby panujące tam ordynacje wyborcze uczynić bardziej podobnemi do... demokratycznych. Chcą rozstrzygnąć zadanie, które jest kwadraturą koła, t. j. jak mieć posłów z nominacji, którzyby mieli zaufanie społeczeństwa.

***

W Niemczech przyszedł do władzy gabinet gen. Schleichera. Rzesza Niemiecka weszła w jakiś nowy okres swoich przemian. Ci, którzy widzą „szczęśliwość w dyktaturze" nastawili uszu, dosłyszeli, że gen. Schleicher — to nowa koncepcja: potrafi ponad głowami partji porozumieć się ze związkami zawodowemi, rozstrzygnie sprawę socjalną, załagodzi bezrobocie. Dowiedzie, że reakcja społeczna i polityczna umie rządzić. Wprawdzie dawniej tę rolę przeznaczano von Papenowi, ale skoro go niema, to niech będzie zbawcą gen. Schleicher.

A więc zanotowano, że rozmawiał z Leipartem przywódcą związków zawodowych socjalistycznych, porozumiewał się z działaczami chrześcijańskich związków zawodowych, odciągnął od Hitlera — Grzegorza Strassera, który miał do czynienia ze związkami zawodowemi „nazi" ch. Stąd wniosek: Schleicher przebudowuje Niemcy na podstawach korporacyjnych, coś à la Mussolini, patrzcie i naśladujcie!

Na jakich podstawach opierała się ta cała mitologja względem związków chrześcijańskich i hitlerowskich, nie warto nawet dochodzić, bo wszak nie te związki decydują o froncie robotniczego ruchu zawodowego.

Warto jednak przytoczyć oświadczenie Leiparta w „Vorwarts'ie". Było ono krótkie: „Ani w rokowaniach z gen. Schleicherem, ani w żadnych rozmowach o tworzeniu jakiegokolwiek rządu udziału nie brałem".

W ten sposób należy uważać, że cała legenda o tak zwanych „poprzecznych kontaktach" (Querverbindungen), na których miała oprzeć się nowa antyparlamentarna koncepcja gen. Schleichera, że ta legenda już jest rozbita.

Nie jest z tem sprzeczny wcale spokojny rozwój wydarzeń po otwarciu nowego Reichstagu i zgoda większości na odroczenie Izby. To wszystko są konsekwencje zwycięstwa Schleichera nad Hitlerem, który mając rozłam u siebie w stronnictwie i rosnący ubytek głosów, nie może się ważyć na ostrą walkę, skoro nie podjął jej wówczas, gdy był tryumfatorem. Masa otumaniona przez Hitlera odchodzi od niego, ale przecież nie do „poprzecznych kombinacji" gen. Schleichera.

St. Gr.

LISTY DO »EPOKI«

Odpowiedź p. Ludwikowi M. w Brześciu n.Bugiem.

Czytając ze wzruszeniem list Sz. Pana w 5-tym numerze „Epoki" — nie mogłam oprzeć się wrażeniu — że pisze ktoś bliski mi — znajomy. To też postanowiłam napisać do Pana — niestety trudno mi było wcześniej mój zamiar zrealizować. — Chcę Sz. Pana zapewnić — że nie jest Pan odosobniony w swej trosce o to — aby ludzie nie uprawiali kultu brutalnej siły — nie mięszali jej z tężyzną życiową — siłą istotną — która nie ma z tamtą nic wspólnego — i przejawia się zawsze i przedewszystkiem w dobroci i łagodności dla słabszych. — Pisze Sz. Pan w swym liście „jestem starym człowiekiem". Stary człowiek — myślący tak jak Pan — szukający „wzorów" to przykład niezmiernie rzadki — świadczący, że zachował Pan najpiękniejsze cechy młodości: — żywotność ducha i zdolność entuzjazmu — czyli, że pozostał Pan młodym. — Ciesząc się przytem sympatją swych wnuków — nie trudno chyba będzie Panu zdobyć sobie w ich duszach wpływ najlepszy i decydujący. — Niech więc Sz. Pan rozwija w nich takie wartości — które zrównoważą wpływ domu i szkoły — a więc: serce i ambicję.

Jeżeli dom i szkoła kształcą ich mięśnie, niech Pan ich uczy — aby używali tych mięśni dla szlachetnych celów, i w obronie słabych i pokrzywdzonych.

Może trafią do ich wyobraźni przykłady współczesnych podróżników i odkrywców — takich, jak np. Komandor Byrd — który wraz ze swymi towarzyszami wybrał drogę największych trudów — nie dla osobistych korzyści materjalnych — ale dla celów ogólnoludzkich — i właśnie tą drogą zdobył sławę i wielkość.

A na odwrót — jako przykład przeciwny — czyż nie najlepiej służyć może

naród niemiecki — który znienawidzony przez resztę świata, mimo że najlepiej uzbrojony — musiał jednak przegrać wojnę. Wydaje mi się, że kult siły brutalnej u nas, jest jednak objawem przejściowym. Może to poprostu reakcja na dawne warunki wychowania z czasów niewoli, tak samo, jak przerost sportu i rekordu fizycznego jest reakcją na dawne zaniedbania w tym kierunku.

Co do atmosfery szkoły — to myślę, że wpływa na nią ujemnie napór warstwy kulturalnie niższej — która zdobywa dziś wyższą platformę intelektualną — ale jednocześnie ściąga do swego poziomu jednostki mniej odporne. Jakąż piękną rolę ma do odegrania w dzisiejszej szkole młodzież z inteligencji — odpowiednio do tego przygotowana w domu!

Siła fizyczna jest dobrą rzeczą — brak jej boleśnie daje się odczuć w życiu — ale kultura serca i wysoki poziom umysłu, poparte siłą fizyczną — oto dopiero ów człowiek przyszłości — którego pragniemy — i wierzymy — że przyjdzie i zmieni ustrój świata. Nie wątpię — że siłą swego wpływu uda się Sz. Panu zbliżyć swych chłopców do tego typu — pozatem jestem przekonana — że w warunkach człowieka przejętego tak wysokimi ideałami, jakie zna mionuje troska Pana o wartość przyszłego pokolenia — odezwą się z czasem te same, odziedziczone szlachetne cechy.

Doczekania tej chwili serdecznie Panu życzę.

Pozwoliłam sobie przesłać tych parę uwag w przypuszczeniu — że miło może będzie Sz. Panu usłyszeć z drugiego krańca Polski — z innego kąta odległych kresów, słowa sympatji i zrozumienia.

Irena Meyerowa

Zakopane.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2833 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.